Paulina Kuzawińska

Tajemnicza nieznajoma i młody architekt, miłosna obsesja i pożar w wieży Eiffla...
W epoce pary i elektryczności nic nie jest tym, na co wygląda!

Cienie PARYŻA

LIRA
WYDAWNICTWO

Cienie PARYŻA

Paulina
Kuzawińska

Cienie PARYŻA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66730-71-7

Prolog

Między grubymi murami szpitala psychiatrycznego Salpêtrière nieustannie rozbrzmiewają wrzaski. Zmysły Victora, choć otępiałe po podaniu lekarstw, rejestrują tę kakofonię nieartykułowanych dźwięków. Wydają je podopieczni szpitala. Wielu z nich zakuto w łańcuchy w zimnych izolatkach. Chociaż świat zbliża się do początku nowego wieku, w miejscach takich jak to czas nie chce płynąć. Jest rozwleczony w nieskończoność, niczym dzień z życia skazańca. Metody leczenia nieszczęśników zamkniętych w szpitalu z powodu własnego obłędu, z mocy prawa, z dobrej lub złej woli rodziny, za przyczyną wyrodnych dzieci, zawistnych sąsiadów, podstępnych wspólników — jeśli już się zmieniają, to niezmiernie wolno, przytłoczone wielowiekowym marazmem. Pacjentów traktuje się nie jak ludzi, lecz jak bestie.

Ale nawet w tym ponurym przytułku strachu i nieszczęścia zdarzają się lekarze z powołania. Tacy, którzy naprawdę chcą pomóc.

Victorowi podano silny środek uspokajający, który zamazuje część jego najświeższych wspomnień. Tych

z ostatnich godzin, a może tylko minut. Prowadzą go na koniec długiego korytarza w północnym skrzydle ponurej paryskiej budowli. Tutaj krzyki szalonych pacjentów dobiegają z mniejszą intensywnością — ale i tak je słyszy. Przypominają owadzi świergot szarańczy, głodny rój, przed którym nie sposób uciec. Mózg Victora uczy się go ignorować.

Gabinet, do którego wprowadzają pacjenta, okazuje się zaskakująco, nieprawdopodobnie wręcz wygodny. Ciężkie zasłony w jedynym oknie są zaciągnięte. Litościwie skrywają kratę, która odgradza szybę. W olbrzymim kominku zwieńczonym gzymsem ze spękanego marmuru szeleści ogień. Płomienie próbują rozproszyć przenikliwy ziąb. W wiekowych murach dawnej fabryki prochu, które zaadaptowano na szpital jeszcze w czasach Ludwika XIV, zawsze jest zimno…

Victora sadzają w podniszczonym fotelu w stylu czerpiącym z czasów tegoż właśnie króla. Zatapia się w nim z rozkoszą. Na nowo czuje, jak bardzo jest osłabiony. Głowa lekko opada mu na pierś — ma wrażenie, że jest nieproporcjonalnie ciężka, jak u źle wyważonej kukły. Równie mocno ciążą mu powieki. Kiedy jednak próbuje zamknąć oczy, jego umysł podrywa się, pobudzony gwałtownym wrażeniem — silnym

porywem niemal zwierzęcego instynktu — że w żadnym razie nie może teraz zasnąć.

Mruga. Przed nim, na blacie ciężkiego, mahoniowego biurka materializuje się szklanka z wodą. Na jej widok natychmiast czuje suchość w ustach. Drżącą ręką sięga po naczynie. Chłodny płyn spływa przez przełyk i rozlewa się po jego klatce piersiowej niczym lodowate orzeźwienie.

— Lepiej, panie Argent? — Głos należy do jednego z trzech alienistów, którzy zajmują miejsca po drugiej stronie biurka, w skórzanych fotelach.

Viktor mruga i przygląda mu się z wytężoną uwagą.

— Przepraszam, wymieniłem pańskie nazwisko, ale nie powtórzyłem mojego. Wprawdzie pan i ja już się znamy, lecz w obecnej sytuacji… Niech wszystkim formalnościom stanie się zadość. Jestem doktor Vanrel. — Głos jest przyjemny, niski, nęcący, niemal aksamitny. W jego brzmieniu tkwi coś rozbrajającego. — Moi koledzy to doktor Maunier oraz doktor Duval. Wie pan, po co tu jesteśmy, prawda?

Victor kiwa głową. Przełyka ślinę.

— Chcecie mi pomóc.

Doktor Vanrel się uśmiecha, rad z odpowiedzi.

— Tak właśnie jest, Victorze. Czy mogę mówić panu po imieniu? To sprzyja zbudowaniu więzi, która

pomaga w leczeniu. W ten sposób łatwiej trafić do pacjentów. A my musimy dokładnie ocenić pański stan.

Pacjent znów kiwa głową. Jego myśli zasnuwa jeszcze zasłona obojętności, która spłynęła nań po końskiej dawce medykamentów. W tej chwili naprawdę mało go obchodzi, jak będzie nazywał go doktor Vanrel. Jedyne, na czym mu zależy, to żeby go wysłuchali.

— Jesteśmy po tej samej stronie, Victorze — brzmi aksamitny baryton alienisty. — Dlatego chcemy bliżej się przyjrzeć twojemu przypadkowi. Zrozumieć, co tobą powodowało. Chcemy usłyszeć twoją historię. Musimy dowiedzieć się wszystkiego.

— Nie jestem szalony — zapewnia Victor.

Jednocześnie czuje żywsze bicie serca. Do gardła podpełza mu strach i zaciska na nim swoje lodowate szpony.

Czy na pewno? Czy na pewno nie jestem szalony?

— Zebraliśmy się tutaj we trzech, by to ocenić.

— Okazał się pan groźny dla otoczenia — odzywa się bez ostrzeżenia inny głos. Zimniejszy, ochrypły i trzeszczący, jak gdyby w gardle mówiącego grały uderzające o siebie kamyki. W połączeniu ze spiczastym nosem przygarbionego doktora Mauniera ów głos upodabnia psychiatrę do drapieżnego sępa.

Victor mruga nieprzytomnie.

— Ja?… Groźny?… — Z wolna zdaje sobie sprawę, że gapowato rozdziawia usta. To musi być efekt tych lekarstw…

Wciąga powietrze, próbując zebrać myśli. Spogląda po twarzach trzech mężczyzn, zdezorientowany.

Wyglądają młodo jak na lekarzy, a jednocześnie zdumiewająco, nieprawdopodobnie wręcz staro. W eleganckich, ciemnych garniturach przypominają grupę ponurych cmentarnych cieni. Trzy posępne Mojry, od których zależy jego los.

Doktor Vanrel chyba nie jest z nich najstarszy, ale wydaje się mieć największy autorytet. W odblasku kominka imponuje czupryną pofalowanych srebrzystych włosów. Przywodzi na myśl ekscentrycznego pianistę.

Alienista składa dłonie w piramidkę. Victor zauważa błysk sygnetu na jego małym palcu.

— Czy na pewno wiesz, czemu tutaj z nami jesteś, Victorze?

Młody mężczyzna znów czuje suchość w ustach. Nie odpowiada.

— Próbowałeś podpalić trzystumetrową wieżę wzniesioną na tegoroczną Wystawę Światową przez twojego pracodawcę, Gustawa Eiffela.

Victor czuje uderzenie gorąca, jak gdyby ogień pożaru, o którym mówi Vanrel, w tej właśnie chwili buchał mu prosto w twarz.

— To niemożliwe. Nigdy bym tego nie zrobił… Pan nie rozumie!

— Uspokój się, Victorze — przykazuje spokojny, ale stanowczy głos doktora. — Uważamy, że jesteś geniuszem. A z geniuszem zawsze łączy się jakiś rodzaj szaleństwa… oraz wysoka wrażliwość na własnym punkcie. Uznałeś, że spotkała cię rażąca niesprawiedliwość, w wyniku czego rozwinął się u ciebie rodzaj obsesji…

— Nie… Niemożliwe!

— …który zawładnął twoim umysłem. W tych okolicznościach musimy…

— Nie! — woła Victor i podrywa się z fotela, by uderzyć otwartą dłonią w blat biurka. — Pan nie rozumie! To ja stworzyłem tę wieżę! Eiffel tylko odkupił mój projekt! A potem ochrzcił go własnym imieniem!

Chłodne oczy psychiatry zwężają się.

— A więc nie zaprzeczasz, że żywiłeś nienawiść do swojego pracodawcy?

Victor głośno sapie, raz i drugi. Poprzeczna zmarszczka zarysowuje mu się na czole.

— Nienawiść? Nie.

— Niektórzy mają na ten temat inne zdanie. Sam monsieur Eiffel wspomniał nam o pewnym incydencie z twoim udziałem, do którego doszło na przyjęciu z okazji ukończenia budowy. Przypominasz sobie, Victorze?

Przed oczyma przelatuje mu kalejdoskop zdarzeń. Przyjęcie… Orkiestra… Fajerwerki… W jego wspomnieniach rozbłyskują na tle nocnego nieba jak kolorowe, świetliste pająki wspinające się po żelaznej sieci.

— Tak… — mruczy niewyraźnie. — To wszystko… Wszystko zaczęło się na tamtym przyjęciu.

— Mogę zabrać cię tam za pomocą hipnozy — napływa kojący głos Vanrela. Psychiatra unosi na wysokość oczu jakiś połyskujący przedmiot. Kieszonkowy zegarek na kosztownym, złotym łańcuszku.

— Pan wie, na czym ona polega? — pyta ochrypłym głosem przypominający zgarbionego sępa doktor Maunier.

— Nie jestem pewien. Proszę mi wyjaśnić.

— Oczywiście. W hipnozie kluczowy jest przedmiot albo bodziec, który skupia uwagę pacjenta. Działa jak wytrych. Przy jego pomocy hipnotyzer otwiera drzwi do podświadomości. To właśnie zamierzamy dziś zrobić.

Zapada cisza.

— To niebezpieczne? — pyta beznamiętnie Victor.

— Jak każde narzędzie, może być niebezpieczne w rękach nieodpowiedniego człowieka. Lecz proszę się nie obawiać. W dziedzinie hipnozy doktor Vanrel jest znakomitym specjalistą. A doktor Duval i ja jesteśmy tu również po to, żeby czuwać nad prawidłowym przebiegiem badania.

Pacjent powoli, bez entuzjazmu kiwa głową.

— Jestem gotów.

— Policzę od trzech do jednego — oznajmia Vanrel, unosząc zegarek na łańcuszku. — Kiedy skończę, znowu znajdziesz się na przyjęciu. Spójrz mi w oczy. — Victor spełnia prośbę. — Trzy… Dwa… Jeden…

Znienacka przemożna, niewidzialna siła wciska Victora w głąb fotela.

Świat wypełnia się czarnymi jak noc źrenicami Vanrela.

1. Dziewczyna na wieży

Paryż zwykło się nazywać Miastem Świateł. To określenie nigdy nie pasowało do niego bardziej niż tamtego wieczora roku 1889 — sześćdziesiąt metrów nad ziemią, w restauracji na pierwszym poziomie trzystumetrowej wieży z prefabrykatów, którą wzniesiono na paryską Wystawę Światową.

To moja wieża… — pomyślał Victor z dumą, upiwszy łyk szampana, nad którego powierzchnią unosiła się musująca mgiełka. Jego duma była jednak zaprawiona goryczą. Prawdę mówiąc, w miarę upływu tamtego baśniowego wieczoru gorycz wzbierała w nim fala za falą. W ustach czuł jej nieprzyjemny posmak, jak gdyby zaszkodziła mu jedna z wybornych potraw serwowanych przez kelnerów w eleganckich frakach. Uwijali się oni między stolikami i grupkami gości z gracją baletowych tancerzy. Na srebrnych tacach zmieniały się zestawy maleńkich, misternie ułożonych przekąsek — w kieliszkach na wysokich nóżkach pienił się szampan Mercier. W powietrzu rozzłoconym od lamp gazowych unosił się zapach drogich perfum i wielkich pieniędzy. Trzepotały wachlarze

dam i sączyły się harmonijne akordy wyczarowywane przez orkiestrę.

— Znów masz ponurą minę — rzuciła mu do ucha młoda dama uczepiona jego ramienia. Lisette niezmiennie potrafiła odczytywać jego nastroje. Był pewien, że wyczuła jego samopoczucie już poprzedniego popołudnia, kiedy odbierał ją z zatłoczonego dworca spowitego w kłęby pary i gęstego, węglowego pyłu. — Uśmiechnij się, proszę. To twój wielki dzień. Ludzie pomyślą, że wcale się nie cieszysz.

— Ludzie wcale na mnie nie patrzą, Lisette — mruknął z goryczą. — To Eiffel jest gwiazdą wieczoru, a właściwie to całej wystawy. To jego imię zapisze się w historii Paryża złotymi zgłoskami… Nie moje. Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być.

— Ciebie czy mnie? — Lisette spojrzała mu w oczy i jej ciemne brwi zmarszczyły się delikatnie. W źrenicach kobiety przez moment zamigotała pytająca iskierka.

— Wybacz — zmieszał się Victor i szybko ucałował ją w czubek głowy. — Wiesz, jak się cieszę, że przyjechałaś do Paryża. Dla nas obojga to nie był łatwy rok. Naprawdę tęskniłem. Bardzo brakowało mi twojego towarzystwa.

— Nie wyglądasz, jakby ci go brakowało, Victorze — westchnęła i leciutko poklepała go po ramieniu.

Jej dłoń spowita w cieniutką rękawiczkę, której kolor współgrał z odcieniem sukni, przypominała trzepocące skrzydło motyla. — Ale wybaczam ci to. Rozumiem, że nie jest ci łatwo patrzeć, jak twój pracodawca zbiera zewsząd laury za zrealizowanie projektu, którego pierwszym autorem byłeś ty.

— Ja i Maurice Koechlin — poprawił ją Victor. Nie chciał, by i o jego koledze zapomniano, tak jak w tej chwili o nim.

Westchnął cicho. Trzystumetrowa, ażurowa konstrukcja z żelaza, której budowa od kilku lat rozpalała serca i umysły paryżan, miała aż trzech konstruktorów. Pomysłodawcami wieży byli dwaj architekci zatrudnieni w biurze Eiffla — on, Victor Argent, i Maurice Koechlin. W połowie września 1884 roku zgłosili patent, który zarejestrowano pod numerem 164364. Od tamtej pory pozostał im tylko jeden palący problem: żaden z nich nie posiadał funduszy na realizację projektu. Ostatecznie pod koniec tamtego samego roku nie kto inny jak ich pracodawca, Gustaw Eiffel, odkupił prawo do własności intelektualnej wieży…

Budową aż do jej ukończenia kierował Victor.

Tego wieczoru hucznie świętowano wielki finał. Na zaproszenie Gustawa Eiffela w restauracji na

pierwszym z trzech tarasów kontrowersyjnej budowli zebrała się śmietanka towarzyska Paryża. Składali się na nią przedstawiciele miejskiego magistratu, najbogatsi lokalni przedsiębiorcy i wydawcy gazet, muzycy, pisarze i artyści, nie wspominając oczywiście o architektach i ścisłym kierownictwie Wystawy Światowej, której otwarcie było coraz bliżej.

Lisette pragnęła bywać właśnie wśród takich ludzi — niepospolitych, wykwintnych i obytych w świecie. Tego wieczoru wyjątkowo pragnęła błyszczeć i olśniewać. Czyż nie była narzeczoną jednego z czołowych architektów, których sukces właśnie świętowano? Victor doskonale wiedział, że dziewczyna od dawna marzyła o Paryżu, o jego balach, literackich salonach, teatrach, wystawach i koncertach. Słowem — o tym wszystkim, co odróżniało stolicę od niewielkiego alzackiego miasteczka, z którego przyjechała. A raczej: z którego przyjechali oboje.

*

— Lisette… Tak ma na imię twoja narzeczona? — W głowie Victora rozbrzmiewa hipnotycznie wznoszący się i opadający głos doktora Vanrela. Victor zdaje sobie sprawę, że wszystko, co właśnie przeżywa, już się zdarzyło. Że po prostu odtwarza swoje wspomnienia,

niczym czarno-biały widok ukazujący się z wolna na fotografii. Alienista go zahipnotyzował, a on bez słowa poddaje się jego przedziwnej mocy.

— Tak — odpowiada jak we śnie, niemal bez poruszania ustami. — Jest moją narzeczoną od trzech lat.

— Ale dopiero wczoraj przyjechała z prowincji, podczas gdy ty od dawna bawiłeś w Paryżu?

— Tak, dołączyła do mnie wczoraj. Bardzo chciała zdążyć na to przyjęcie.

— Przyjechałeś do Paryża trzy lata wcześniej?

— Tak. Żeby rozpocząć pracę. I oczywiście zarobić na nasz ślub. Rozumie pan, dom, przyszłe wspólne życie… Kiedy ogłoszono organizację Wystawy Światowej, zrozumiałem, że to moja wielka szansa. Na kilka lat cały Paryż zmieniał się w plac budowy. Pojawiło się zapotrzebowanie na zdolnych architektów.

— Jak twoja narzeczona zareagowała wówczas na tę rozłąkę?

Victor waha się.

— Myślę, że była ze mnie dumna. Cieszyła się, chociaż nie było jej lekko. W tym czasie opiekowała się swoim chorym ojcem. Nie mogła pozostawić go samego. Ale wiedziała, że ten wyjazd jest dla mnie szansą. Chciała, żebym w Paryżu rozwinął karierę. Byłem jej wdzięczny za jej wyrozumiałość.

— Wdzięczny? Ciekawe słowo… A teraz, kiedy stoisz obok narzeczonej w kącie gwarnej sali na przyjęciu… Jakie są twoje uczucia względem niej?

— Kocham ją. Jest dla mnie niemal jak siostra. Jest moją kuzynką i jako dzieci wychowywaliśmy się razem. Nigdy nie wyobrażałem sobie ślubu z inną kobietą… Lisette mnie zna. A ja znam ją. To chyba dobrze, prawda?

Głos Vanrela nie odpowiada.

*

— Co ci jest, kochany?

Victor przyłożył dłoń do pulsującej skroni.

— To nic takiego… — Zamrugał oczyma. — Nie czuję się najlepiej. Boli mnie głowa.

Lisette spojrzała na niego z zaskoczeniem i ze źle zamaskowanym wyrzutem.

Ilekroć tak na niego patrzyła, czuł się jak skończony łajdak. Dlaczego jej to robi? Dlaczego próbuje ją zawieść? To przyjęcie na zakończenie budowy jego wieży — to miał być moment ich wspólnego triumfu, ich wielka chwila. Tak długo na to czekali! Lisette czekała. Długie miesiące rozłąki i wyrzeczeń, jego szalonej pracy i jej opieki nad ojcem, który już nie wstawał z łóżka, doprowadziły ich do tego punktu.

Znowu są razem, niebawem mają się pobrać. Świętują w gronie najwybitniejszych ludzi Francji.

To wszystko powinno wyglądać inaczej… — pomyślał Victor, znów upijając łyk szampana. To on zaprojektował wieżę nazwaną nazwiskiem Eiffela. Tak, wprawdzie sprzedał mu projekt, ale co to zmieniło? Dlaczego nikt nie pamiętał już o jego patencie, o idei, którą przez ostatnie lata z mozołem przeistaczał w rzeczywistość przy pomocy żelaza i gęstego potu ponad dwustu robotników, z których ośmiu straciło na budowie życie?… Owszem, to Gustaw Eiffel przecierał polityczne i towarzyskie szlaki, dzięki którym umożliwiono budowę — mierzył się ze zjadliwą prasą, odpowiadał na krytykę i na oficjalne protestacje pisarzy takich jak Maupassant, zranionych w swoim poczuciu miejskiej estetyki. Jednak to Victor czuwał nad budową, to on znał imiona swoich majstrów, to on rozwiązywał trudności w terenie. A teraz… pozostaje w cieniu Gustawa Eiffela. Czy doprawdy w takich przedsięwzięciach tylko pieniądze się liczą? Dlaczego ludzie tak szybko zapomnieli o tym, kto na tej sali jako p i e r w s z y odważył się wzbić myślą ponad przeciętność? Czemu z taką łatwością zapominają, kto jest p r a w d z i w y m geniuszem?

— Jesteś blady. — Głos Lisette zbudził go z zamyślenia i wzniecił w jego duszy niejasne ukłucie żalu.

Delikatnie musnął kciukiem jej policzek. Spojrzał na nią i spróbował się uśmiechnąć. Była jego narzeczoną i była taka piękna, nic się nie zmieniła przez ostatnie miesiące. Jej kasztanowe, falujące włosy, jej prosty nos i zaróżowione policzki, wiotka kibić, drobne piersi i duże, ciemne oczy… Wszystko w niej współgrało w zachwycającej harmonii.

Doprawdy, miała prawo chcieć olśniewać. Więcej: miała prawo przyjmować hołdy paryżan.

Był szczęściarzem, że miał ją przy sobie.

— Victorze, czy ty się mnie wstydzisz? — rzuciła mu do ucha drżącym półszeptem.

To pytanie szczerze nim wstrząsnęło.

— Nie! — zaprotestował gorączkowo i mocniej ścisnął ją za rękę. Ujął jej dłoń i przycisnął do ust szczupłe palce. — Jak w ogóle możesz tak myśleć, głuptasie?

Spojrzała mu prosto w oczy i lekko się zarumieniła.

— Mam wrażenie, że wcale nic chcesz tu być… ze mną. Myślami jesteś gdzie indziej. W jakimś innym miejscu, w innym czasie. Tak chciałam poznać twoich paryskich znajomych, specjalnie kupiłam tę suknię… A przedstawiłeś mnie ledwie kilku osobom. Teraz czuję, że najchętniej byś stąd wyszedł. Wróć do mnie…